

EKO!

EKONOMIA to religia zobowiązująca wiernych do rozwijania cnoty chciwości.

Ekonomia toleruje – na zasadach wzajemności – te spośród innych religii, które nie kwestionują jej kultu.

Marek Chlebuś, *Wielki słownik nauki i sztuki*

Oprócz przedrostka eko-, ekologię i ekonomię łączy coś bardzo istotnego. Obie te dziedziny życia mają ogromny wpływ na życie współczesnego człowieka. Wspólne eko- pochodzi od *oikos*, co oznacza dom, miejsce zamieszkania, środowisko. Logia pochodzi od *logos*, co oznacza wiedzę, naukę. Nomia zaś od *nomos* i oznacza tu liczenie, gospodarowanie. Tak więc ekologia jest wiedzą o relacjach pomiędzy gatunkami a ich środowiskiem, ekonomia zaś umiejętnością gospodarowania w tym środowisku. Optymalne byłoby więc gdyby postulaty ekonomii pokrywały się z postulatami ekologicznymi. To, co ekologiczne powinno być ekonomicznie uzasadnione, a działania antyekologiczne – zwyczajnie nieopłacalne. W praktyce jednak jest inaczej, gdyż ekonomia nie jest nauką ścisłą, a wręcz bywa ideologią („Ekonomia jest nauką o tym, w co ludzie wierzą” – Marek Chlebuś, *Wielki słownik nauki i sztuki*). Często mówi się, że ekologia jest bardzo modna (my jako działacze wiemy, że za tymi hasłami często niewiele się kryje) a wpływu ekonomii na życie każdego z nas jak i całego społeczeństwa i środowiska przyrodniczego trudno przecenić.

Ernst Haeckel w 1869 r. zdefiniował ekologię jako „ekonomię natury” (naukę o tym jak gospodaruje przyroda). I odwrotnie, ekonomia to „ekologia cywilizacji”, społeczeństwa. Rozwój zrównoważony, ekorozwój to taki rozwój ludzkiej gospodarki, który nie tylko równoważy potrzeby ekonomiczne z zachowaniem i ochroną środowiska ale i oznacza „synergę aspektów ekonomicznych, środowiskowych i społecznych, jest bezpieczny i korzystny dla człowieka, dla środowiska i dla gospodarki”. Dość jasne, choć smutne, jest oddzielanie w tej definicji kwestii ekologicznych i ekonomicznych. Człowiek, choć jest częścią przyrody, jest zwierzęciem szczególnym. Jego naturą jest kultura (art- oznacza coś „sztucznego”). Bardziej niż inne istoty narusza stan środowiska eksploatując je by zaspokoić swe życiowe potrzeby i „potrzeby”. Wpływ ten możemy ograniczać, ale nie da się go wyeliminować. Punktem wyjścia do rozwoju zrównoważonego powinna być przyroda, bo człowiek zawsze będzie jej potrzebował. Ona jego nie. Nie można podcinać gałęzi, na której się siedzi. Gospodarka ludzka jest (powinna być) podsystemem przyrody.

Pozostaje jednak kwestią otwartą, dlaczego definicje ekorozwoju oddzielają gospodarkę nie tylko

od przyrody także od rozwoju społecznego. Wszak ekonomia (gospodarka) jest „wynalazkiem” człowieka i w najgorszym przypadku ma służyć przynajmniej samym ludziom, więc konieczność godzenia jej z celami społecznymi wydaje się zawierać podświadomie, może genialne i przerażające, odkrycie, że człowiek stworzył gospodarkę, która potrafi działać bez ludzi czy wbrew ludziom i dlatego trzeba „równoważyć” jej wzrost z celami społecznymi.

Theodore Roszak, twórca i prekursor ekopsychologii, profesor historii na California State University, z pochodzenia Polak, stwierdził, że zaburzenie relacji człowieka z przyrodą (a właściwie ich praktyczny brak) jest faktycznym źródłem powszechnego szaleństwa w społeczeństwie przemysłowym, zaś jeden z wybitnych psychologów amerykańskich niemieckiego pochodzenia, uczeń Zygmunta Freuda – Wilhelm Reich, uznał, że jedną z podstawowych przyczyn patologii psychicznych są lęki związane z poczuciem zagrożenia biedą. Z drugiej strony, stwierdził on, że również nadmiar bogactwa może być pośrednią bądź bezpośrednią przyczyną zaburzeń psychosomatycznych. Krzysztof Lewandowski pisze: „Badania prowadzone przez Reicha [...] potwierdziły istotny związek grubości pancerza [psychicznego – przyp. red.] z dualizmem ekonomicznym. Dualizm biedy i bogactwa czyni z ludzi opresorów bądź ofiary. Czy w pieniądzu zatem ukrywa się matryca dualistycznego myślenia? – zacząłem się zastanawiać.” (*Przełęcz kontrkultury*).

Rudolf Steiner (twórca antropozofii, szkoły duchowej z której wywodzi się m.in. rolnictwo biodynamiczne) napisał: „przyczyną zamętu w naszym publicznym życiu jest zależność życia duchowego od państwa i ekonomiki” (*Zasadnicze podstawy nowego ustroju społeczeństwa i państwa*).

Naiwne byłoby sądzić, że do rozwiązania ekoproblemów wystarczy postawić ekologów u władzy... Programy polityczne można bardzo łatwo kupić, wyborców zaś sprzedać... Dlaczego ekodziałacze mieliby być bezpieczni od takich pokus? Partia zielonych nie może poprzestać na postulatach ochrony środowiska. Nawet gdyby z takim wąskim programem weszła do parlamentu, to – poza nielicznymi przecież debatami ws. ekologii – nie miałyby za wiele pracy. Ewentualny brak wspólnej wizji tematów „pozaekologicznych” mógłby doprowadzić do kompromitacji czy rozpadu partii. Zieloni potrzebują całościowego programu... no



właśnie – programu społeczno-gospodarczego. Przyjęcie postulatów liberalizacji, odbiurokratyzowania gospodarki, a co za tym idzie obniżenia podatków, oznaczają obniżenie budżetu na cele socjalne. Z kolei zwiększenie „socjalu”, gwarantowanego dochodu minimalnego, itp. wymaga większego budżetu a więc rozruszania gospodarki i/lub obniżenia podatków. Błędne koło? Wybór zielonych między lewicą a prawicą? Oczywiście to co łączy, także dzieli. Już samo łączenie „ekologii” z „innymi tematami” oburzy wielu ekodziałaczy. Wybrać UE z jej prawami człowieka i ekologicznym prawodawstwem, ale i z centralizmem, biurokracją, władzą kapitału, czy stawiać na siły lokalne, patriotyczne, lecz często nie rozumiejące praw mniejszości i grup słabszych, czy wręcz zaprzeczające istnieniu problemu? Obrońca Puszczy Białowieskiej kierujący się pobudkami ochrony dziedzictwa narodowego może nie chcieć współpracować z Zielonym, który jednocześnie broni praw mniejszości seksualnych, i a priori odrzucać działania wszelkich organizacji ekologicznych, niezależnie jak szeroki program mają. I vice versa, lewicowy alterglobalista może nie chcieć współpracować z przeciwnikami makdonaldyzacji i kokakolonizacji o pobudkach nacjonalistycznych.

A więc jak szeroko, aby nie za szeroko? Usuwać w cień ważne kwestie społeczne, aby podnieść skuteczność na wąskim wycinku spraw ochrony przyrody? Ruch zielonych musi mieć szerszy program i perspektywę filozoficzną niż towarzystwo ochrony zwierząt z XIX w. A więc jak wąsko, by nie za wąsko? Na to pytanie musi sobie odpowiedzieć każda organizacja, mając na uwadze to jaki cel, jakimi kosztami i metodami chce osiągnąć. Miło, gdy dokonując tego wyboru pamięta o pozostałej części ruchu ekologicznego, który dla reszty społeczeństwa jawi się jako monolit.

Ad rem. Głęboka ekologia uczy myślenia systemowego i każe stawiać głębokie pytania i szukać na nie odpowiedzi. Czy jednak określa obszar tych pytań? Czy kwestie społeczne, ekonomiczne mogą się mieścić w jej obszarze zainteresowania? Nie wiem. Nie jest w sumie aż tak istotne, co jakaś szkoła nakazuje lub zakazuje – bo nie o szkoły tu chodzi, ale o całość życia. Myślę, że lepiej zadać głębokie pytanie o kwestie transportu rowerowego w mieście, niż płytkie w kwestii obszarów dzikiej przyrody. Wszystko jest połączone ze wszystkim – „głębokie”, autentyczne rozwiązania z zakresu „ekologii mieszcucha” pomogą wilkowi i wielorybowi lepiej niż jakieś nietrafione prowadzone przez samych przyrodników.

Dawna „ochrona i kształtowanie środowiska” została nazwana „ekologią końca rury”, gdyż widziała rozwiązanie problemów ochrony przyrody w budowaniu oczyszczalni ścieków czy zakładaniu filtrów na rurach zrzucających ścieki i na fabrycznych kominach. Nowsze podejście każe szukać głębszych przyczyn problemów, a więc np. postuluje zmianę technologii produkcji, przez co filtry i oczyszczalnie przestają być aż tak potrzebne. Albo idąc dalej – zastanowić się nad tym, czy cała ta produkcja jest

nam potrzebna. Myślenie trzeba pogłębiać. W tym kontekście określenie „radyczny”, („fundamentalistyczny”?) jest jak najbardziej na miejscu, gdyż kieruje nasze myśli ku korzeniom (łac. – *radices*), źródłom problemów.

Donella H. Meadows w tekście *Punkty i miejsca dźwigniowe: systemowe miejsca interwencyjne* wskazuje jak ważne jest by nasze wysiłki służące rozwiązaniu problemów kierować we właściwe miejsca – tam gdzie będą skuteczne, gdzie przyniosą one szybki i pewny efekt, uruchamiając efekt domina, by para nie poszła w gwizdek. By otworzyć drzwi, najlepiej przyłożyć rękę do klamki, choć można pchać od strony zawiasów, lecz jest to nieefektywne, nielogiczne i nieekonomiczne. Chcąc przewrócić szafę, pchamy u góry, a nie u dołu. Biednemu lepiej dać wędkę, a nie rybę. Zamiast zasiłku, państwo winno ułatwić rozkręcenie własnego biznesu i to nie tylko poprzez zmniejszenie utrudnień biurokratycznych, ale też obniżenie kosztów kredytu finansowego.

W dzisiejszym zglobalizowanym świecie, gdzie 80% bogactw należy do 20% populacji a około 500 najbogatszych rodzin posiada więcej niż cała reszta ludzkości, możemy wręcz mówić o problemie bogactwa, a nie tylko o problemie biedy. Najbogatsza część społeczeństwa, poprzez hiperkonsumpcję, niszczy bezpowrotnie nieodnawialne źródła zasobów i zużywa ogromne ilości energii, produkując przy tym góry śmieci, i jest w stanie ponieść wszelkie opłaty i kary (choć tego nie musi robić, bo już dawno zabezpieczyła sobie prawo do uspołecznienia kosztów i prywatyzacji zysków). Z drugiej strony, od tych najbiedniejszych, a często i przymierających głodem, trudno oczekiwać postaw proekologicznych, np. wybierania ekologicznych, lecz droższych opakowań, żywności lokalnej, tradycyjnej, certyfikowanej czy produktów sprawiedliwego handlu. Ekologia się opłaca, ale niekoniecznie na krótką metę. Konieczność zaspakajania najpilniejszych potrzeb góruje i żadne przekonywania ekologów, rządowe zakazy, moda, edukacja, zasady religijne nie są w stanie zapobiec wycinaniu lasów pod pola uprawne czy kłusowaniu na ginące gatunki zwierząt. Ale w globalnej wiosce, pomiędzy skrajną nędzą i skrajnym bogactwem jest cała rzesza ludzi, których życiowe aspiracje, pojęcie o biedzie i bogactwie, o celach ludzkiego życia zostały zaburzone wskutek rozpropagowania zachodniego modelu życia (media, moda, turystyka, reklama). Spowodowało to rozbudzenie konsumpcyjnych marzeń i nadziei u miliardów ludzi...

Tak więc mamy do czynienia nie tylko z niszczeniem środowiska związanym z zaspakajaniem podstawowych potrzeb biologicznych w sytuacji autentycznej biedy. Rozbudzenie konsumpcyjnych aspiracji i zaspakajanie wysublimowanych zachcianek, jak np. zabijanie słoni wyłącznie dla ich kłów, by móc kupić reklamowany model anteny satelitarnej czy DVD to dość drastyczna ilustracja tego zjawiska. Inną ciekawą ilustracją jest głodny, ubrany w zachodni tiszert i džinsy mieszkaniec slumsów Nairobi, którego rodzice wychowali się w

tradycyjnej wiosce, uprawiając w sposób zrównoważony ziemię. Ale nie musimy sięgać tak daleko, wystarczy przywołać przykład bezrobotnych rodzin z byłych PGRów, które, za zarobione w fabryce grosze czy za zasiłki dla bezrobotnych lub emerytury swych seniorów, kupują kolorowe gazety z plotkami o życiu gwiazd oraz niezdrowe, śmieciarskie jedzenie z hipermarketów, zamiast żyć godnie uprawiając opuszczone pola uprawnych.

Tak więc i dla ochrony środowiska ekonomia jest ważnym punktem dzwigniowym. Niewielka zmiana jest katalizatorem wielkich przemian, dobrych lub złych. Tak więc, z ekologicznego punktu widzenia, całkiem słuszny wydaje się postulat: „po pierwsze gospodarka”, ale nie w sensie prymatu rozwoju wskaźników gospodarczych nad wartościami społecznymi i ekologicznymi, lecz w sensie uzdrowienia gospodarki, tak by mogła służyć nie tylko samej sobie, ale również przyrodzie.

Zasada „Myśl globalnie, działaj lokalnie” wydaje się być jedynym sensownym wyjściem z tego błędnego koła nędzy, korupcji i braku partycypacji zwykłych, szarych ludzi w podejmowaniu ważnych decyzji politycznych, często mających kluczowy wpływ na ich dalsze życie. Urzeczywistnieniem tej zasady jest odbudowanie i rozwój lokalnej gospodarki. Lokalna produkcja, konsumpcja i utylizacja odpadów, oparte o lokalne zasoby naturalne i ludzkie, a więc i lokalne środki rozliczeniowe, to przywrócenie poczucia godności mieszkańcom prowincji, wsi i miasteczek, odbudowa więzi społecznych i sąsiedzkich, postaw obywatelskich, spółdzielczości, samopomocy kredytowej czy ubezpieczeń wzajemnych.

Podobno Fenicjanie wynaleźli pieniądź, gdyż „płacenie” prostytutkom beczącymi kozami i gdaczącymi kurami nie było „romantyczne”, wygodne i dyskretne. Zamiast tego zostawiali im kawałki metalu, które rano mogły wymienić na targu na kozy, kury, itd. Być może stąd powstał pomysł, że skoro dając komuś na przechowanie stado krów, po roku można odebrać ich znacznie więcej, to tak samo mogą mnożyć się „rogate blaszki” (pierwsze pieniądze przypominały rogatą krowią głowę). Jednak pieniądź sam w sobie nie ma tej cudownej cechy istot żywych, dlatego pobieranie odsetek od pożyczek jest tragiczną pomyłką – bogaci będą mieć go coraz więcej a biedni coraz mniej. Pieniądź, który naprawdę odzwierciedla realne dobra (a to tego został powołany), musi „rdzewieć”, ulegać entropii, tracić na wartości, tak samo jak niszczeje zawartość kopca ziemniaków, czy worka mąki (dlatego ruch reform pieniądza postuluje deprecjację, ujemne oprocentowanie – *demurrage*).

Co prawda nowoczesne produkty, jak np. plastiki, są dużo trwalsze niż ziemniaki, jednak wykonane z nich przedmioty szybko tracą na wartości: ubrania wychodzą z mody a komputery w rok po nabyciu stają się już „przestarzałe”. Podobnie trwała, konserwowa żywność, szybko jest wypierana przez kolejne „nowości”, „promocje” i „serie limitowane”.

Bez żadnej pracy ze strony pożyczkodawcy, w wyniku samego matematycznego działania odsetek i odsetek składanych, wartość pożyczonego pieniądza stale rośnie, a po przekroczeniu pewnego punktu, przyrost następuje w sposób dramatyczny (tzw. krzywa wykładnicza). Jedyną analogią w przyrodzie jest wzrost komórek rakowych, których ilość rośnie aż do zabicia „nosiciela”. Zupełnie inaczej rosną zrównoważone byty przyrodnicze. Dziecko przez pierwsze lata rośnie dość szybko, potem coraz wolniej a od pewnego momentu wzrost ustaje. Tak więc pieniądź oderwał się od swej funkcji reprezentowania dóbr realnych a stał się bytem autonomicznym. Zbieżność słowiańskich słów „bog-actwo” i „z-boże” oznacza utożsamienie boskości i bogactwa z tym co realne i służące zaspokojeniu potrzeb. Podobnie Adam Mickiewicz w *Księgach Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego* pisze: „A wy kupcy i handlarze (...) łaknący złota i papieru dającego złoto (...) A oto przyjdą dni, iż będziecie lizać złoto i żuć papier wasz a nikt wam nie przyśle chleba ani wody” (XXIII). Podobnie dobrze znane ekologom indiańskie prorocтво mówi: „Dopiero gdy zginie ostatnie drzewo i ostatnia rzeka zostanie zatruta a ostatnia ryba zostanie złowiona, zrozumiemy, że pieniędzy nie można jeść”.

Bieżący numer ZB ma szczególny charakter i zawiera wyjątkowo mocną dawkę wiedzy z zakresu ekonomii. Szczególnie pomaga zrozumieć zasady działania pieniądza i banków. Omówienie ich bezpośredniego wpływu na „antyekorozwój” naszej gospodarki a więc i na przyrodę to temat na osobną publikację. Do tematu będziemy jednak wracać, czy to na łamach ZB, czy w postaci książek. Wciąż można nabyć u nas: Margrit Kennedy, *Pieniądź wolny od inflacji i odsetek. Jak stworzyć środek wymiany służący nam wszystkim i chroniący Ziemię?* a na www.zb.eco.pl/bzb/19 przeczytać: Janusz Reichel, *Rzecz o pieniądzu dla lokalnych społeczności czyli małe jest najpiękniejsze*.

Teksty autorstwa i w tłumaczeniu Szczęsnego Zygmunta Górskiego pochodzą z mało znanych szkół ekonomicznych: Kredytu Społecznego Douglasa (propagowanego zwłaszcza w środowiskach katolickich) oraz Pieniądza Naturalnego Gesella. Owocnej lektury!

**Maria Huma
Andrzej Żwawa**

